MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok II. Warszawa, 2 Lutego 1922 r. Nr. 5.



Cena numeru 40 mk.

OBCHODY.

Listopadowe i Styczniowe obchody dla uczczenia pamięci tych, którzy polegli w obronie niepodległości odbywają się nadal i w Polsce niepodległej. Ale coraz bardziej szare anemiczne, z coraz mniejszą inwencją i z coraz mniejszem zainteresowaniem szerszego ogółu. Jest w nich już szablon i nuda. Ostatnia rocznica Styczniowa obchodzona była upokarzająco skromnie, jakby od niechcenia, jakby jałmużna rzucona tytułem odczepnego pamięci dziadów i pradziadów. W dwóch, trzech pismach feljetony przygodne, w jednym teatrze wieczór sklecony na prędce i to wszystko.

Tak być nie powinno. Co do obchodzenia świąt narodowych i rocznic powinien też istnieć jakiś plan, jakiś program i jakieś uzgodnienie. Zbywać je w ten sposób jak ostatnie dwie t. j. Listopadową i Styczniową wprost się nie godzi. Albo obchodzić albo skasować. Raczej to drugie. Świętem narodowem jest dzień 3 maja.

Ponieważ nie obchodzimy jakichś rocznic narodowych, stwierdzających wraży i nieprzejednany do nas stosunek na-

szego wroga dziedzicznego t. j. Niemiec (np. dnia Grunwaldu i Tannenbergu, dni hołdów pruskich, Litwy pod Warszawą (1656) i ponieważ tak rocznica Listopadowa jak i Styczniowa, odświerzając tylko wspomnienia konfliktów z carską Rosją, podtrzymują w społeczeństwie nadal wyłącznie uczucia żalu i nienawiści do naszego najeźdcy sąsiada Wschodniego a ponieważ z tym sąsiadem Wschodnim w wieku XX będziemy musieli żyć w bezwzględnej harmonji i kooperacji pokojowej, przeto dla nie podtrzymywania przeciągającego się i samobójczego dla nas jako całości nastroju antyrosyjskiego i antysłowiańskiego należałoby ze zwyczajem tych obchodów się rozstać i perjodycznie w r. 1831 i 1863 nie grzebać. Jest to zresztą rzecz do dyskusji. W każdym razie zbywać je w tak bagatelizujący sposób się nie godzi i z roku na rok obchodzić je coraz skromniej, ciszej, mizerniej wprost nie wypada.

Ale jest jeszcze inna forma uczczenia pamięci naszych bojów o niepodległość, mniej demonstracyjna, mniej dekoratywna powierzchownie, mniej formalistyczna forma — a tą jest pogłębienie naszej wiedzy o latach 31 i 63. „Pogłębienie wiedzy“ jest to frazes eufemiczny. Raczej stworzenie wiedzy o powstaniach. My bowiem o obu tych wojnach z Rosją wiemy nędznie mało. Najpłyciej i najpowierzchowniej. Dotychczas niema porządnej pragmatycznej historji ani roku 1831 ani 1863. Wszystko co jest, jest fragmentaryczne, pamiątkowe, niekrytyczne, dowolne, ponad wszelki wyraz popularne no i absolutnie przestarzałe. Mnóstwo tomów ani jednego dzieła, ani jednej syntezy. Jeżeli chodzi o strategiczne działania, jeżeli chce się poznać dyplomatyczne zabiegi, sięgać trzeba do źródeł rosyjskich lub niemieckich; Turyzewski, Dawydow, Toll, Willisen, Moltke, von Trotha, Verdy du Vernois...

Tak zwana inteligencja polska jak kultury historycznej wogóle niezna nijakiej, tak i o obu powstaniach polskich nie wie dziś literalnie nic. W świadomości ogółu polskiego nie istnieje żadna bohaterska indywidualność ani z Listopada ani ze Stycznia. Coś tam wiedzą o Chłopickim z Wyspiańskiego, coś o Dyktatorze z Żuławskiego, coś o Traugucie z mówek Piłsudskiego, coś o Żukasińskim z Askenazego, coś o E. Plater... jakiś wierszyk... jakiś dramat... jakiś dramat jakiś pamiętnik... jakieś wspomnienie i pamiątka rodzinna.

Lata idą i idą a wiedza nasza o przebiegu tych dwóch wojen z carsko-germańską Rosją nietylko się nie pogłębia ale jest coraz płytsza, niklejsza i bledsza. Obchodzimy te rocznice w ten sposób, że obchodzimy je dokoła, nic się w nie zagłębiając, nic z nich nie czerpiąc, nic je nie oświetlając, tylko powtarzając w kółko od lat ciągle te same frazesy, westchnienia i gołe słowa.

Najlepszym zaś ich obchodem byłoby ich poznanie. Uczcić je to znaczy wiedzieć kogo się czci i za co, wiedzieć coraz więcej, coraz wszechstronniej, coraz głębiej, źródłowiej i z tej

wiedzy czerpać doświadczenie i wskazówki w przyszłości. Zamiast mówek okolicznościowych (rozmaitych bawidamków historycznych w rodzaju Artura Śliwińskiego) odczyty fachowców, zamiast wierszydeł okolicznościowych, solidne prace specjalistów zamiast teatralnych spektaklów z poetycko-fałszowaną historją, naukowe akademie i seminarja z nowymi relacjami z tych lat, oto byłaby najwłaściwsza, najnowoczesniejsza i produkcyjna forma tych styczniowych i listopadowych obchodów.

Dlaczego ten temat poruszamy?

Oto z tej racji, że z okazji ostatniego „obchodu" styczniowego w Warszawie już wprost skandalicznie lichego gdy w towarzystwie można powiedzieć intellektualnej elity zeszła mowa na temat kto zgniótł właściwie powstanie Listopadowe i Styczniowe, rzuciło się w dyskusję zdanie: wyłącznie Niemcy!

Ogólne osłupienie wśród ludzi nie „z domowem" a z „uniwersyteckiem" pełnem wykształceniem. Nieprawda! Skądże znowu? Właśnie że sami Moskale! Przecież korpusy niemieckie stały tylko nad granicą. Jako obserwacyjne. Taki Dybicz... Ogólne zaprzeczenie.

Powstanie w r. 1831 i 1863 jak zresztą i w 1794 zgnietli wyłącznie i jedynie Niemcy.

Powstanie w r. 1831: Johann Karl Friedrich von Diebitsch, Karol v. Toll, Georg von Rosen, von Geismar. Kuentz, Rüdiger, Sutterheim, Roth, Nabel, Schumann, Offenberg, Pahlen, Witte, Fricken, Schirman, Gerstenzweig, Danneberg, Dellinghausen, Ovander, Osten-Sacken, Kotzebue v. Dehn, Lüders von Reibuitz, Rembert Berg von Zagwitz, Prinz v. Württemberg, Komrensbern, Prinz Sayn-Wittgensten-Berleburg, v. Engel, von Feldman...

Powstanie w r. 1863: Rüdiger, Wintzigerode, v. Bremsen, Eger Schilder-Schuldner, von Nortitz, v. Lewenthal, Kleigels, Klingenberg, Kreutz, Graner, Zakomelski-Moeller, Schwarze, Dreier, Kruzenstein, Zimmermann, Brandt, Lannitz, Linden, Raden, Meybaum, Ramsay, Wahl, Kannabich, Manderstern, Weiss, Hatzfeld, Kaufmann, Nelken, v. Schumann, Krudener, Gerstenzweig, Stobenfeld, Zegebusch von Mantenfel, Medem, Mengden, Gengross, Korff, Sayn-Wittgemtein...

Okazuje się, że o tych „Moskalach" mało kto co wie wśród patrjotów polskich obchodzących uroczyście *dookoła* rocznice Listopadowe i Styczniowe.

Jak mało kto wogóle zna także nazwiska tych „Moskali", którzy głównie przeprowadzali trzy rozbiory Polski...

I jak mało kto pamięta np. nazwiska tej biurokracji jeneralicji i dyplomacji, która w r. 1914 reprezentowała carską Rosję i która w r. 1915 opuszczała Kongresówkę...

A to są rzeczy ciekawe, godne rewelacji, dookoła których obchodzić ciągle nie trzeba, ale wreszcie je pod światło wydobyć.

Gdy te rzeczy dokładnie wyjdą kiedyś na jaw, wtedy dojdziemy nawet do przekonania, że jak powstania w r. 1831 i 63 były właściwie antygermańskie, tak i obchody tych rocznic byłyby właściwie demonstracjami przeciw hegemonji teutońskiej w Słowiańszczyźnie, przeciw dwóchsetletniej okupacji teutońskiej w Rosji.

W konsekwencji tego i poglądy na to co się działo w r. 1914 muszą uledz rewizji.

Ale przedtem trzeba i nas samych pouczyć i Europie udowodnić do jakiego stopnia carska Rosja była germańską kolonją.

Obchodzić rocznice i obchodząc je dookoła niema już żadnej racji.

A. Nowaczyński.

PUKLERZ REPUBLIKI

Najpiękniejsze, najpatrjotyczniejsze i najheroiczniejsze z miast polskich, Lwów kresowy nadal bagatelizowany jest przez stolicę jej opinję i miarodajną prasę. Pomści się to kiedyś, pomści srodze, jeżeli ten stan obojętnej nieczułości trwać będzie chronicznie i nadal jeszcze.

Wielkie pisma warszawskie wedle starego nałogu z przyzwyczajenia i z inercji trzymają w Krakowie swoich korespondentów, którzy systematycznie wypisują, ba nawet telefonują specjalnie rozmaite bagatelne sensacje z tej małej i smrodliwej parafii, a to że Jan Kanty kupił dwie beczki Palugaya a to że w oknach Muzeum Narodowego wstawili dwie zbite szyby, a to że koń dorożkarski poniósł, a redaktor Reformy grał w szachy z redaktorem Gońca, a to że rabin Thon będzie miał odczyt w towarzystwie Św. Wincentego a Paulo, a to że prof. Jaworski zgadza się na nawiązanie handlowych stosunków z Rosją i t. p. detale prowincjonalne, dające dużo satysfakcji konsumentom krakowskim ale nieobchodzące właściwie całej reszty Polski.

Tymczasem Lwów się nadal bagatelizuje i przemilcza. Ani stamtąd stałych korespondencji, ani telegramów ani telefonów. Mało Lwowian jezdzi już do Warszawy, jeszcze mniej Warszawiaków interesuje się życicm duchowem, kulturalnem, ekonomicznem i politycznem Lwowa. Nie istnieje wymiana mózgów. Intellektualiści lwowscy mało przyjeżdżają do nas, nasi uczeni i literaci nie odwiedzają Lwowa. To bardzo źle, to bardzo krótkowzroczne. Krakowskie znakomitości ciągle nahalnie narzucają się Warszawie; to kohnserwatysty to futurysty przyjeżdżają tu na gościnne występy z grubymi tekami i imponują tanio swą jagiellońską wyższością, swą „równowagą”, „wyrobieniem“ „rutyną“, swymi talentami „do kompromisów” do „se soumettre”. Lwowianie ani tego wścibstwa ani

tego wkręcania się, podłażenia. podlizywania, podsuwania nigdy nie mieli, zawsze raczej hołdując „se demettre“. Pomyślmy sobie na chwilę coby było z Galicją, gdyby nie moralne promieniowanie politycznego Lwowa gdyby w patrjotycznym Lwowie nie było równoważnika serwilizmowi, habsburgizmowi i temu specyficznemu kosmopolityzmowi Krakauerów wszelkiej socjalnej maści, gdyby na Polskę w czasie wojny szły suggestje tylko z tej pseudopatrjotycznej dziury, której jedyną ambicją było zostać polskim Bezirkiem Widnia zaraz po Ottakring Hernals...

Musimy obecnie stanowczo więcej zająć się, zainteresować i związać się się ze Lwowem. Jeżeli nie chcemy przypatrywać się z założonymi rękami jak Lwów stanie się żydowską stolicą rusińskiej autonomicznej prowincji, do czego zmierza propaganda Pepfeesów pod suflerstwem Krakauerskiem, to stosunek nasz uczuciowy do Lwowa musi uledz gruntownej korrekturze a Leopolis z Kopciuszka musi zostać Benjaminkiem. Tosamo Poznań. W gruncie rzeczy bowiem węzły łączące nas uczuciowo i materjalnie z tymi dwoma miastami zamiast stawać się coraz silniejsze raczej coraz więcej się rozluźniają. Im szybciej idzie unifikacja z Wielkopolską, tem coraz mniej czyta się i słyszy o Poznaniu. A im niżej, niżej zwisa nam nad głowami miecz Damoklesa Georg'ea z Wschodnia Galicją, tem mniej znowuż słyszy się i mówi i dowiaduje i wie o życiu Lwowa. Na razie nic tylko Wilno, i Wilno a normalnie Krakau, Krakau über alles!

Tak dalej być nie może. Lwów ma 212000 mieszkańców. Dwanaście tysięcy Lwowian poległo podczas wojny europejskiej, z czego 9,500 Polaków 2,500 Rusinów kilkunastu żydów (a ilu tam poległo Krakauerów?) Obecnie wedle wyznan. liczy Lwów 55% rzymskich katolików, 12% greckich, procent zaś żydów wzrósł z 27 w r. 1914 na 31 w r. 1921.... Wymowne cyferki! Około 40,000 dawnych Lwowian wyemigrowało ze Lwowa a na to miejsce omal 40,000 zbiegów osiedliło się ze Wschodu, głównie żydów. Tak przedstawia się rzeczywistość. Tak wygląda miasto „pogromów“, skąd szły w świat telegramy o wycinaniu jelit, wydłubywaniu oczu i spaleniu „żywcem 10 rabinów modlących się w bóżnicy“! Z 27% żydów w 1914 po „pogromach“ w r. 1921 już 31%. Jeszcze jedna wojna, będzie ich 35% a potem jeszcze jeden „pogrom“ a będzie ich 40%. I wtedy będą już szczerymi Rusinami i będą nosili piękne imiona: Ossip Kohn, Hrehory Deiches, Ostafi Rapaport, Hawryło Askenazy, Ołena Abramson, Paraska Loevenstejn....

Trzeba nam się zająć Lwowem goręcej, trzeba póki czas, póki nie będzie zapóźno. Że pan Naczelnik Lwowa nie lubi jako endeckiej rogatej twierdzy to jeszcze nie racja; odpłaca, tylko pięknem za nadobne. Lwów w nim nie uznał największego stratega, jakiego Łódź dotychczas wydała, więc w rewanżu

za to największy w Europie strateg z „domowem wykształceniem” wojskowem nie uznaje Lwowa. Ale dłużej klasztora jak przeora ojców Peowiaków. Lwów tę najmiłościwszą niełaskę przetrzyma i da Bóg jeszcze będzie puklerzem republiki. Przetrzymał potopy, obronił się po Piławcach, przetrzymał i Bobrzyńskiego i Bobryńskiego i cholerę i hellerynę i perekińczyków i samostijników i Stadiona i Huyna nieprzymierzając i bombardowanie w 48-ym i bombardowanie w 1919-tym, to i bonapartacką animozję przetrzyma...

Ale my mu w tem ze wszystkich sił dopomódz musimy. Pamiętając że to miasto Zimorowicza i Jana Kazimierza, Smolki i Gołuchowskiego, Fredry, Ujejskiego, Pola, Szajnochy i Łozińskiego a dziś Balcera, Romera i Kaspra, miasto, które przygarnęło Kaspra! pamiętając, że to miasto, które ocaliło Małopolskę przed moralnem i politycznem zkrakowiaczeniem, musimy *uczuciowe* węzły z niem zacieśnić, w żywszy i istotniejszy wejść z niem kontakt, intellektualnie wzajemnie się poprzyjaźnić i stwierdzić przed światem realnie, że bez Lwowa integralnie złączonego na wieki z Polską, państwa polskiego niema i być nie może. A oto jak na sejmie warszawskim w roku Pańskim 1658 przy nadaniu Lwowowi jako miastu godności szlacheckiej sformułowano już wtedy Lwowa wiekopomne zasługi:

„A gdy już wielu, którzy nam i Rzeczypospolitej w tych sprawach okazali wierność i stałość, okazaliśmy hojność, łaskawość i szczodrobliwość królewską, godzi się, abyśmy ją okazali także obywatelom lwowskim, którzy *stałością, wiernością, posłuszeństwem* po tylekroć nam i Rzeczypospolitej wyświadczonem, słusznie przed innymi mogą się chlubić i stanowić dokument ua przyszłe czasy... Zaiste Lwów, przodując z miast naszych, nie potrzebuje szerokich wywodów o tem, jak od najdawniejszych czasów zasłużył sobie na rozgłos w rocznikach cnót wszelakich... Lwów stał jakby nieruchoma skała przeciwko najazdowi nieprzyjaciół i ukrytym machinacjom...“

„Skała przeciw... ukrytym machinacjom“?..

Czyżby w 1658 przewidziano Napoleona Peoviaparte?

A. Nowaczyński.

FILM DO NAPISANIA.

W stolicy Polski, w Warszawie jest 31 teatrów filmowych zwykłych a 7 zero-ekranów t. j. wyświetlnic 1 klasy, w sumie 38, z czego 32 w posiadaniu żydostwa; ajencje wypożyczające wszystkie w rękach żydostwa. W miastach prowincjonalnych omal wszystkie kintopfy w rękach i w posiadaniu żydostwa.

Warszawa konsumuje rocznie 250 film, cała Polska zaś do tysiąca rocznie. Na tysiąc film jest jedna czwarta fran-

cuskich, włoskich, amerykańskich, angielskich, czeskich, węgierskich a trzy czwarte t. j. 750 do 774 made in Berlin. Na tysiąc film naekranowych w Polsce przypada 10 — 20 najwyżej film polskich, względnie polsko-żydowskich.

Specjaliści obliczyli, że ponieważ wypożyczenie film kopii kosztuje miljon marek, a prawo wyłącznego monopolu drugi miljon mniej więcej, przeto Polska rocznie (1921) zapłaciła zagranicy plus minus trzy miljardy 96 miljonów, z czego lwią część Berlinowi. Ponieważ właścicielami kinów są starozakonni, przeto zyski i to grube zyski ciągną dalej tylko krajowi cudzoziemcy.

To jest bardzo smutne. Co wieczór w samej Warszawie przeszło 20.000 ludzi nabywających bilety po 300—600 marek napycha kabzy Niemcom i Żydom. Najwyższy już czas, aby przełamać monopol semicki na posiadanie teatrów kinematograficznych i biur wynajmu. Najwyższy czas, aby tą gałęzią przemysłu zajęli się aryjczycy, aby jakiś Polak amerykański ujął to w swoje ręce i jakaś grupa magnatów sypnęła na to gotówkę, naśladując wiedeńskiego hr. Kolowrata. Najwyższy też czas, aby teksty i scenarjusze polskich filmów proponowano pisać polskim autorom z których niektórzy specjalne w tym kierunku nawet objawili już zdolności (p. Kiedrzyński), a niektórzy do tej twórczości objawiają pewne inklinacje (Konczyński, Winawer, Wroczyński, Słonimski, Witkiewicz, Grabiński).

W ostatnim tygodniu wielkim powodzeniem cieszył się u kinomelomanów film polski p. t. „Strzał“. Autorem jego jest p. Leo Belmont-Blumenthal, publicysta mocno skompromitowany politycznie swojem wysługiwaniem się pruskim okupantom w „Godzinie polskiej“, w której ten przed wojną skrajnie filorosyjski polemista drukował horrendalnie prussofilskie tasiemce prozą i wierszem. Obecnie przytulony przez współwyznawców kintopiarzy tłómaczy dla nich napisy z tekstów niemieckich a w wolnych chwilach koncypuje filmy, jak widać po „Strzale” wcale udatnie. Ponieważ więc debiut p. Belmonta jako autora filmowego bardzo był fortunny, przeto pod jego adresem rzucamy projekt na film, którym mógłby sobie zyskać wszechświatową renomę.

Wiadomo ogólnie, że największem powodzeniem cieszą się w wielkich miastach europejskich filmy amerykańskie. Są to przeważnie obrazy ultra-nacjonalistyczne, apoteozujące siłę fizyczną i potencję muskularną, szerzące kult dla policmanów, constabullary i detektywów a w ogromnym procencie oparte na konfliktach rasowych t. j. na wywyższaniu rasy białej nad rasę, która dała ludzkości... Konfucjusza i jego bądź co bądź bardzo szlachetny system religijny.

W co drugim czy w co trzecim filmie amerykańskim występują zawsze Chińczycy, przedstawieni w bardzo ujemnem świetle. Jeżeli nie Chińczycy to negroes lub Meksykanie ale

najczęściej Chińczycy. Bohater czy bohaterka dostają się w dzielnicę chińską, gdzie dzieją się rzeczy bardzo brzydkie: handel opium i kokainą, fałszowanie pieniędzy, passerstwo, handlowanie kobietami, spekulacje walutą, odkupywanie od bandytów skradzionych biżuterji, stręczenie do nierządu, wykradanie planów mobilizacyjnych, szpiegostwo na rzecz wrogów i t. p. Amerykańscy autorzy filmów sensacyjnych w ten sposób jaskrawy ostrzegają społeczeństwo przed „yellow peril", przed „żółtem niebezpieczeństwem", idącem od obcej rasy z tych tajemniczych dzielnic, które istnieją już w wielu mia stach amerykańskich.

Raz w tych filmach występują Chińczycy, to znowu czarne jak smoła charaktery rekrutują się z Japończyków, w każdym razie z rasy obcej, która chytrze i chyłkiem dostała się w organizm anglosaski szerząc tu korrupcję i zgniliznę moralną i zatruwając zdrowe tkanki i komorki społeczne etyką mikrobów. Chińczyków pełno jest w Nowym-Jorku, a Japończyków pełno w San-Francisco. W malowniczych ich dzielnicach gnieździ się zło, ogniskuje się zaraza, którą autorzy filmów amerykańskich demaskują i wywlekają na jaw bez litości a często z okrucieństwem.

W analogicznej sytuacji znajduje się cała Wschodnia Europa, z nami włącznie i z Rumunją i z Węgrami. W Rosji chińskie bataljony wysyłane są nawet do uśmierzania kontrrewolucji, a ludzie z rasy obcej, gościnnie i liberalnie przyjętej na razie nawet zagarnęli władzę.

I u nas istnieją dzielnice obcorasowe, egzotyczne, tajemnicze, bardzo mało znane lub nieznane. W tych dzielnicach fałszuje się pieniądze i paszporty. Tam króluje passerstwo i odkupywanie kradzionych biżuterji. Stamtąd idzie handel żywym towarem i martwą bibułą komunistyczną. Tam przekupują urzędników, funkcjonarjuszy policji i intendentów wojskowości. Opjum jeszcze nie mają ale gorzelni tajnych nakryto mnóstwo i alkohole zatruwają metylanni co się wlezie. Stamtąd, z tych dzielnic dla nas chińskich idzie w małych sakwojarzach kokaina dla Rosji. Tam niejeden zdrajca wojskowy wynosił ważne tajne papiery z kancelarji, a brał za to fałszowane tysiącmarkówki. Tam koncentrował się tajny handel obcymi dewizami i walutami. Tam wyrastają małe Salome i Lilithy, które potem jako bosonogie tancerki i rozkoszne szansonistki ogłupiają aryjskich Holofernesów i doprowadzają do sprzeniewierzań, defrandacji, do ruiny, do samobójstw... Tam w tych dzielnicach, w nędznych hotelach lożują pruscy pułkownicy w cywilu i przez usłużnych Chińczyków zbierają materjały o „sezonowej Polsce". Tam w nocy turkocą w piwnicach tajne drukarenki, wytłaczające bolszewicką propagandę... Tam odbywają się dziwne jeszcze średniowieczne prastare obrzędy... panuje zabobon z przed lat 5000... Tam noszą jesz-

cze dziwne stroje... futrzane czapy... jedwabne chałaty... chińskie spiralne warkoczyki...

Otóż z tego może być film, powinien być film. Wystarczy czytać systematyczne kroniki miejskie... policyjne... sądowe... Tło egzotyczne jest, afera sensacyjna się znajdzie... Tytuł: „W szponach czarnej gełdy...", „Córka Rabina z Sadogóry...", „Drukarnia w Mykwie...", „Banda Natana Spryngera...", Labirynt pod Synagogą...", „Sobelson na Kremlu...", „Godzina Cezara Pomeranza"...

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę p. Belmonta na tę kopalnię sensacyjnych tematów kryminalistyczno-melodramatycznych. I my mamy swoich Czing-Czangow i Czeng-Czungów... Warkoczów już nie noszą, opium jeszcze nie handlują ale niebezpieczeństwem już są: jewish peril...

A. Z.

JESZCZE O TAJNEJ DYPLOMACJI.

W art. p. t. „Klęska tajnej dyplomacji" [1]) omawiającym rozbicie konferencji w Cannes i upadek Brianda, zwrócono uwagę na zabiegi tajnej nieurzędowej dyplomacji anonimowego radykalizmu celem odosobnienia Francji (i Polski) w likwidacji Traktatu Wersalskiego.

Obecnie w prasie francuskiej pojawił się charakterystyczny telegram z Filadelfii, z którego wynika, że tajna dyplomacja antyfrancuska i antypolska rozwija gorączkową czynność również i na amerykańskim gruncie, oczywiście w kołach socjalistycznych żydowsko - niemieckich.

FILADELFJA, 18 STYCZNIA. „Związek Synów Rewolucji" Amerykańskiej ogłosił uchwałę, piętnującą kampanię żywiołów rosyjskich, które złośliwie i podstępnie usiłują osłabić odwieczną i trwałę przyjaźń amerykańsko - francuską".

Łatwo domyśleć się, że kampania „żywiołów rosyjskich" jest w rzeczywistości intrygą żydowsko - niemiecką, albowiem na całej przestrzeni Stanów nie znajdzie się chyba dziesięciu rdzennych Rosjan, którymby zależało na pokłóceniu Ameryki z Francją.

Zaznaczyć należy, że radykalizm anonimowy, który odpowiednio do swoich celów obraca żywiołami lewicowemi wszystkich państw i narodów, natrafił dopiero w Ameryce na męzki odpór ze strony „Synów Rewolucji", hołdujących tradycyjnym hasłom wolności i równości, ale właśnie dlatego zdecydowanych oprzeć się tajnym knowaniom i bezwzględnym dyrektywom anonimowego mocarstwa.

L. Brum.

---

[1]) „Kurjer Warszawski" z dn. 19 stycznia.

MODLITWA ZA WITOSA.

„Piast“ w ostatnim numerze wystąpił z pytaniem, dlaczego duchowieństwo katolickie nie zarządziło modłów publicznych za Wincentego Witosa.

Niektórym ludziom to żądanie wydaje się dziwną pretensją. Tymczasem ma ono swoje uzasadnienie, boć przecież kumowi Wincentemu potrzeba koniecznie wyższej pomocy, by się wydobyć z różnych kłopotów, w jakie go zapędziły jego wójtowskie rządy Polską i chciwość jego przyjaciół. Inaczej przy najbliższych wyborach przepadną witosiki z kretesem.

A więc módlmy się, by Bóg mu dał „znanie i upamiętanie“, by wypędził z jego serca ambicję i chciwość, by go wyswobodził od przyjaciół w rodzaju Bardla i Gagatka, a przedewszystkiem, by kum Wincenty chcieli zrozumieć, że co innego podwórko wierzchosławickie, a co innego Polska, że to co, dla zagrody witosowej jest dobrem, Ojczyźnie może być zgubą.

Módlmy się, tak, módlmy, a gdy modlitwa ta zostanie wysłuchaną i Ojczyzna odniesie korzyść i p. Witos lepiej się w pamięci narodu zapisze.

Dr. S. Ka-ski.

MEGALOMANJA ŻARGONAUTÓW.

W miesiącu styczniu odbył się w Warszawie wielki zjazd literatów i dziennikarzy wyzwania Mojżeszowego mówiących i piszących w języku pseudoniemieckim t. j. w gwarze wykoszlawionej, jaką posługują się t. z. Aszkenazim t. j. żydzi wschodnio-europejscy. W zjeździe wszechpolskim żargonowych dziennikarzy wziął udział cały szereg znakomitości żargonowych między nimi p. Adalberg, Olszwanger, Hirschhorn, Hartglass, Trusker, Szypper, Nomberg, a w imieniu komisji rządowej p. J. (Jozue?) Ehrenberg, którego oczywiście nie należy indentyfikować z p. Kazimierzem Ehrenbergiem, znanym publicystą i oddawna bezwyznaniowcem, podczas kiedy pan J. Ehrenberg jest jeszcze starozakonnym... Zjazd ten będący „rewanżem” za zjazd żydoznawczy w grudniu, obradował w trzech językach t. j. hebrajskim, polskim i niemiecko-aszkenazyjskim i wydał szereg uchwał przeciw rządowi polskiemu zwróconych, wreszcie wyraził także oficjalnie protest przeciw używaniu przez władze polskie wyrazu „żargon“. To nie jest żaden „żargon“, to jest język.

W „Naszym Kurjerze“ niejaki p. Unger stwierdza że żargon jest tak dobrym i pięknym językiem jak flamandzki, jak plattdeutsch..., jak norwegski. W warszawskiej Filharmonji na jednym z tak zwanych Szabasów Beethovenowskich miała śpiewać bolszewicka wysłanka Iza, Dora Kremer całkiem czrezwyczajne, żydowskie żargonowe szansony, a koncert ten miał

się zamienić w olbrzymią manifestację ku chwale żargonu, decydującą o jego powrocie tryumfalnym po definitywnej klęsce assymulantów. Manifestację żargonistów w ostatniej chwili odwołano.

Jak widzimy z tego, żargonauci przeszli na całej linji do ofenzywy. Jeszcze w r. 1919 bojowcy djalektu niemieckiego zwanego żargonem zachowali się skromnie i w defenzywie, Obecnie gdy Niemcy szykują się do ponownego opanowania Rosji i gdy Polska na nowo ma zostać ich pomostem do Rosji (Brücke) żargonauty podnoszą śmiało łeb do góry i domagają się uznania żargonu za język, równie dobry jak... flamandzki... Nie dali wprawdzie literaturze wszechświatowej takich mistrzów jak flamandzi Paul de Coster, Conscience, Paul de Mont ale już dali... Opatosza, dali „Dybuka“, dali Achad-Haama, więc już protestują przeciw nazywaniu djalektu aszkenazyjskiego... żargonem. Mało komu wiadomem jest fakt, że żargonowe pisma warszawskie razem wzięte już biją więcej egzemplarzy od razem wziętej całej prasy polskiej w Warszawie.

Jeżeli tak dalej pójdzie można przypuszczać, że koło roku 1930 prasa polska będzie biła o połowę mniej od prasy żargonowej, że w Warszawie będą trzy czy cztery teatra żargonowe i jedna opera żargonowa, że wnet zażądają dodania do nazw ulic, do napisów na tramwajach, do afiszów i ogłoszeń, do programów w teatrach i kinach drugiego tekstu w równouprawnionym żargonie. Że Żydzi obstają tak przy żargonie, a nie przechodzą wprost do poprawnego języka niemieckiego tłumaczyć należy tem, że tylko ta gwara daje im gwarancje zapanowania nad całą Wschodnią Europą dzięki temu, że niezrozumiana i przez Herrenvolk niemiecki i przez narody wschodnio-europejskie Polaków, Rumunów, Rosjan, Litwinów, Łotyszów, Słowaków, Węgrów, ułatwia im rozmaite procedury nieuczciwe podobnie jak żargon apaszów paryskich „slang“ w Witheschapel i Broadway, ułatwia używającym tajemniczej mowy ukrywanie się przed władzami.

Czem jest właściwie żargon i jaką może mieć przyszłość przed sobą, jaką misję historyczną do spełnienia o tem można się było pouczyć z wielu broszur niemieckich w czasach okupacji. Tu zacytujemy tylko Dawida Frietscha: „Juden und Deutsche, Eme Sprach und Interessen-Gemeinschaft. Wien 1915“ gdzie autor mówi:

„Język jüdisch-deutsch albo też jiddisz jest bardzie zbliżony do literackiego niemieckiego niż niejeden djalekt czysto niemiecki (np. zurichski). Statystyka wykazuje że na 14 miljonów żydów na świecie blisko 13 miljonów mówi po uiemiecku. Z tego w samej Rosji na 7 miljonów żydów ma być 6.780.000 mówiących po niemiecku. Wspomniana wierność żydów (względem niemczyzny P. A.) objawia się zwłaszcza wyraźnie na niemieckim Wschodzie, gdzie jak np. w Galicji przy spisach ludności nawet karami pieniężnymi odstra-

szano żydów od podawania za swój język języka żydowsko-niemieckiego. Zagranicą, wierni niemczyźnie żydzi przedstawiają dla interesów niemieckich większą wartość niż sami nawet koloniści niemcy, którzy jako rolnicy mieszkają po wsiach rozproszeni gdy żydzi stanowią zbitą masę po miastach... U żydów także rozum oraz instynkt handlowy trzyma najbardziej jeszcze stronę Niemców... Jüddisch deutsch jest jednym z djalektów niemieckiego języka a mówi niem 88—7% ogółu żydów. Społeczeństwo żydowskie całego świata jest w dziewięćdziesiątych swych częściach społeczeństwem niemieckiego języka. Wszędzie w świecie gdziekolwiek niemiec się znajdzie spotyka żyda, z którym rozmówić się może po niemiecku. Dla Niemiec ma olbrzymie znaczenie to, że w krajach nie niemieckich żyje przeszło 12 miljonów żydów z którymi można się porozumiewać w języku niemieckim".

Takich głosów jak Frietsche możnaby zacytować kilkadziesiąt. Podtrzymywanie więc żargonu „naszych Flamandów" jest podtrzymywaniem pangermańskiej rezerwy na wschodzie Europy. W zawładnięciu Kolchidą rosyjską pangermanizm będzie się posługiwał awangardą żargonautów żydowskich. *A. N.*

REFLEKSJE.

„DER WIDZ".

W „Kurjerze Polskim", ach jak Polskim pisuje sobie pod skromnym pseudonimem: „widz" jako ten fijołeczek w trawce ukryty p. Wąsowski, primo voto Wasserzug, rzymski katolik świeżej daty, chrzczony pod chloroformem pospiesznie przy huku armat niemieckich pod Warszawą, obecnie dygnitarz ministerjalny, tempore belli et Beseleri zajadły germaniec, niepodległościowiec „od studni do wodociągu", publicysta. Kto ciekaw, kto zacz może sobie zafundować nakładem Hoesicka wydane opus tegoż Wassercukierka p. t.: „Doświadczenia wojny" (r. 1918). Jest to nie tyle wodociąg ile zlew obelg na Francję, Anglję, Amerykę, Endecję, pogrom Wilsona i pean ku chwale Wilhelma.

Obecnie w nagrodę za to ma p. z Wasserzugów-Wasowski posadkę w ministerjum i kącik na „refleksje" w Rosnerjonie. Dzień w dzień snuje sobie takie refleksje p. Wasserzug. Robotnik ma do refleksji Posnera, Rosner Wasserzuga. Refleksje są bardzo delikatne, głębokie i fajne, czasem wprost Heine. Widzowi niekiedy uda się i witz, przeważnie atoli to on jest w nastroju Ekkleziasty: marność nad marności i jeszcze raz marność! Ale są i nie marności. Niech tylko napisze jakąś broszurę St. A. Kempner albo p. Tennenbaum, niech coś mądrego powie p. Kolischer albo sam Diamand, niech jakiś obraz wystawi Stuckgold lub Gottlieb, niech jakiś futurysta nazywa się Stern lub Wat, niech gdzieś odezwie się Brandes lub Nordau, niech ktoś lekceważąco coś powie o Bergsonie lub Einstejnie, niech w Filharmonji zaśpiewa Genowefa Kohn lub Tristan Lewi, to z Wasserzugów-Wąsowski, zbyt pobieżnie ochrzczony pod chloroformem rozstaje się ze swą dystyngowaną flegmą i daje się ponosić gorącym falom entuzjazmu Aryjczyk to tego okropnie dystyngowanego „outsidera" bardzo ciężko wyprowadza z duchowej równowagi. Ale niech tylko gdzieś któryś z bywszych współwyznawców tego wojennego chrześcijanina ministerjalnego co napisze, wyrzeźbi, wyśpiewa, wygada to p. Wąsowski już

cały w potach, w gorączce, już pisze nowe „refleksje” nie mogąc się dość nadziwić genjalności tych „obcych“ już sobie żydów. Napisze Słonimski bezpretensjonalny wierszyk „Kontr-Marsz“ jako respons bolszewikowi Majakowskiemu, gdzie twierdzi słusznie że:

„Świat nie jest piłką footballową (?)
Świat się podbija głową, głową, głową (!)

a już wraz zachłystująca się od zachwytu nad Antonjuszem Słonimskim rozkochana Kleopatra Wasserzug wypisuje:

„Kontr-marsz A. Słonimskiego jest wspaniałym wydarzeniem w regjonach europejskiego ducha...” Regjonowem wydarzeniem!

Ot uczyć się nam solidarności od tych „pierwszych chrześcjan“. To jest kepełe, kepełe, kepełe! Świat się podbija głową, głową głową! No i solidarnością, reklamą, tupetem...

Choćbyś najbardziej święconą
Wodą pokropion był,
To ile tylko masz sił
Reklamuj rasę natchnioną!
Z nią tylko zawieraj pakt
I na jej powracaj łono.
Inaczej będziesz gnił..
To fakt...

A. Nowaczyński

POGRZEB OFICERA.

Otrzymujemy list następujący:

„W sobotę byłem na pogrzebie przyjaciela śp. Tomasza Strózika, majora 48 pp. słuchacza szkoły Sztabu Generalnego. Umarł w cierpieniach z powodu wrzodu w uchu. Osierocił żonę i paromiesięcznego syna.

Należy mu się dobre wspomnienie, jako młodzieńcowi który był dzielnym żołnierzem i rokował duże nadzieje. Ale piszę dla czego innego. Chcę zwrócić uwagę, jak nizka jest u nas jeszcze kultura uczuć i obowiązku. Przykładem pogrzeb śp. Strózika.

Pogrzeb naznaczony był na godz. 11 ze szpitala Ujazdowskiego, gdzie zmarł ten oficer. Żona przybywszy na ten obrzęd, zastała zwłoki jeszcze nie odziane, w kostnicy. Odziewają na gwałt przy pomocy żony i kolegów w ostatniej chwili. Stawiło się kilkuset oficerów. Kapelan kończy nabożeństwo o godz. 12, poczem idzie na śniadanie. Generalicji, cały orszak oczekuję do godz. pół do pierwszej.

Na placu Teatralnym kapelan, prowadzący kondukt wraca do domu, dowodząc, że nie ma obowiązku iść dalej. Zastępstwa jednak nie przewidział. Chowamy więc zwłoki bez księdza, jak samobójcę.

Ale co ważniejsze. Do cmentarza dotrwało z całego orszaku zaledwie kilkudziesięciu oficerów, w tem cała delegacja oficerów francuskich z pułk Faury na czeele. Prawda, że mróz, ale panowie oficerowie francuscy mniej są obyci z mrozem niż polacy.

Nad grobem przemówił bardzo serdecznie pułk. Faury. Z prostotą, ale z polotem kulturnego człowieka znalazł dobre słowo i dla narodu, który grzebie oficera i dla żony: „Oby twój syn — mówił do niej — wszedł w ślady ojca”, poczem ucałował jej rękę.

Jako cywilny nie śmiałem występować w tym gronie, ale zwróciłem się do kolegów zmarłego, czy nie będzie który z nich przema-

wiał. Odpowiedziano mi z żalem, że chętnieby to zrobili, ale na cmentarzu niema nikogo ze zwierzchności, któryby do tego upoważnił. Pokazało się, że nikt z przełożonych szkoły nie uważał za swój obowiązek asystować przy pogrzebie, a umarł przecie oficer sztabowy!

Honor szkoły uratowali Francuzi, dając nam bolesną lekcję przyzwoitości i poczucia obowiązku".

List ten podajemy bez komentarzy.

Roman Z.

ZJADANIE WŁASNYCH DZIECI.

W Boskiej Komedji Dante przedstawia straszny koniec Ugolina Gherarilesca, oraz dwóch jego synów i dwóch wnuków, których arcybiskuw Roger Ubaldini w r. 1288 zamknął w Pizie w wieży Gualandi i skazał na śmierć głodową.

Na tle tej smutnej historji powstał jednak żart o „głębszem znaczeniu", że mianowicie Ugolino głodując, zjadł własne dzieci, żeby „im" zachować ojca.

Ten żart „macabre" dałby się zastosować do polityki żydowskiej, która Polsce ustawicznie przypomina, że Państwo jest zagrożone w istnieniu z racji nieuwzględnienia przeróżnych żądań żydowskich.

Prowodyrzy żydowscy przemawiają tu jak Pytja. Można to dwojako tłumaczyć. „Utracicie Wilno, Lwów i całe Państwo" przez czynną, a skrytą zemstę żydów, albo świat nie da wam istnieć, bo jesteście niesprawiedliwi.

Istnieć będą Niemcy, bo są i były wzorem cnoty; istnieć będzie Rosja carska, czy bolszewicka, bo jednako sprawiedliwa. Tylko Polska musi być „stracona" — przez żydów.

A jeżeli Polska chce istnieć, chce „zachować" Państwo, to musi „zjadać własne dzieci", żeby „im" zachować Państwo.

Nie wolno Jej starać się, żeby handel Polski, był polski; żeby z warsztatów rzemieślniczych żydzi nie rugowali polaków; żeby procent żydów w stolicy nie rósł crescendo do 90%; żeby adwokatura, medycyna, prasa nie były falą żydowską zalewane coraz srożej; żeby używanie języka polskiego zamiast żargonu niemieckiego przez pewną ilość żydów nie nazywało się „asymilacją", za którą oni sobie każą okropnie drogo płacić; żeby za jedno podwórko żydów, które pójdzie raz do roku do Palestyny, nie wysłano tam stałej daniny i dziesięciny majątków zdobywanych na polakach.

Żydzi będą patrjotami Polski, będą jej najlepszymi synami, będą jej tak życzliwi,, jak sobie, gdy ten kraj zamieni się na sklep z bardzo ładnie barwiącym szyldem „Polska", a w tym sklepie towary będą do nich należały, kasa ich będzie, umowy oni będą zawierali. Obronę „sklepu" powierzą policjantom — polakom, którzy legną na polu chwały. Pochowa ich się pię-

knie z muzyką, ale za ladą sklepu pozostanie ten „z tyłu" i kasę zagarniać będzie codzień dla „swoich".

I z dniem każdym liczyć będzie: nas już jest 20%, nas 30, nas 40 i 50, czyli Judeo-Polska staje się faktem, a polityka nie zna sentymentów, musi liczyć się z faktami, z 50%. Żydzi chcą, żeby Polska zjadła „swoje" dzieci, bo inaczej nie zachowa dla „swoich" Państwa.

żor—zor.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Stanisław Zieliński: W szponach Sfinksa. Warszawa, 1922. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka. Stron 378.

Pierwszy polski pamiętnik z doby wielkich przełomów dziejowych ostatnich lat, pisany przez wytrawnego polityka, a równocześnie prawdziwego artystę słowa. W „Szponach Sfinksa" pisane belletrystycznie, czyta się z zapartym oddechem do ostatniej kartki. W pełnych plastyki rozdziałach książki przesuwa się nam przed oczyma cała bolszewicka Rosja, zobrazowana przez człowieka, który kraj i duszę rosyjską poznał doskonale. Książki tej nie powinno zabraknąć w żadnym polskim księgozbiorze.

Dr. Stefan Dąbrowski: Walka o rekruta w czasie okupacji. Warszawa, 1922. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka.

Wprost rewelacyjna książka o istocie i wewnętrznym mechanizmie współczesnej wojny. Obszerne sprawozdanie zamieścimy później.

SPRAWA ROLNA.

(„Zbiór materjałów poświęconych zagadnieniom polityki agrarnej oraz pokrewnym dziedzinom gospodarstwa narodowego") pod redakcją *Jana Lutosławskiego.* Wydawn. Rady Nacz. Organizacji Ziemiańskich. Zesz. 8. Warszawa 1921. Str. 155.

Nowy zeszyt „Sprawy Rolnej" zawiera szereg prac aktualnych. Prof. Dr. T. Brzeski otwiera zeszyt głęboko ujętą rozprawą o „Przyszłości reformy rolnej w Polsce"; następują dwie prace statystyczne — Prof. L. Waściszakowskiego „O źródłach statystyki rolniczej" i Wł. Studnickiego „Materjały statystyczne do sprawy rolnej i osadnictwa na ziemiach wschodnich". P. Jerzy Gościcki w pracy „Rolnictwo a polityka handlowa Polski" rozważa w sposób bardzo pouczający nieznaną nam dostatecznie dziedzinę ochrony celnej w stosunku do rolnictwa i przeciwstawność interesów rolnictwa i przemysłu. Z kolei znakomity znawca sprawy serwitutów, p. F. Brodowski, poddaje wszech-

stronnej analizie niefortunną ustawę serwitutową z 7 maja 1920 r. Dwie dalsze prace referujące dotyczą ciekawej książki docenta uniwersytetu monachijskiego, D-ra Leonharda, o spółkach akcyjnych w rolnictwie oraz nowego wydania „Polityki agrarnej“ Prof. Ludkiewicza. Zeszyt zakończony został notatkami bibliograficznemi.

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk.**. Prenumerata kwartalne **480**, półrocznie **960**, rocznie **1920**. Zagranicą **2880.**

Ceny ogłoszeń: 1 strona za tekstem **60.000**, pół strony **30.000**, jedna czwartn str. **16.000**, jedna ósma str. **10.000**, jedna szesnasta strony **6.000 mk.**

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Hurtownia pism „Oświata", **Zgoda 5**, telefon 263-02.

REDAKCJA: KOPERNIKA 23, II piętro, tel. 91-76.

Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.

Godziny przyjąć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.